

Stanisław Skotny

16 sierpnia 2015

„Kwiatki jak łzy”

Są takie miejsca na Ziemi zapomniane od Boga i ludzi, gdzie nawet sam diabeł mówi „dobranoc”. Zapomniane - to nie znaczy, że nie pamięta o ich istnieniu poborca podatkowy lub miłościwie panujący władca.

W XVIII wieku w pobliżu Kiruny, na północy Szwecji, była właśnie taka zapomniana wioska, a w niej przeciętna rodzina. Matka samotnie wychowująca dwóch synów: Gunnara i Björna, ich ojciec a jej mąż już ósmą wiosnę do domu nie wracał, gdzieś się przed laty zawieruszył. A było gdzie! Królestwo budowało swoją potęgę podbojami militarnymi, a jego armie wchłaniały każdą ilość materiału ludzkiego.

Pewnego dnia do tego odległego zakątka Szwecji przybył wysłannik króla z informacją, że „dwóch wolnych obywateli Gunnar i Björn spotkał zaszczyt służenia ojczyźnie przy pomocy piki i muszkietu”.

Na tę wiadomość matka otarła łzę, co nie zrobiło większego wrażenia na synach, bo zdążyli poznać mądrość, że „matki często płaczą”. Dla nich wraz z posłańcem pojawiła się szansa wyrwania się z zapyziałej wioski w wielki świat, gdzie bogactwa no i Słońce świecą bardziej i dłużej.

Na drugi dzień wezwała matka synów i rzekła: „Idziecie na wojnę. Ona sama w sobie niesie zło i dlatego wy nie powinniście tego zła powiększać. Nie bądźcie bandytami, grabieżcami, okrutnikami. Bądźcie uczciwymi żołnierzami, o ile rozumiecie, co to znaczy. Szczególnie ty - tu spojrzała karcąco - Gunnarze posiadasz zadatki na żołdaka. Lubisz pić, bić słabszych, wykorzystywać dobrodusznych. Zajdziesz wysoko: albo na szubienicę albo zostaniesz generałem.”. Skończyła, spojrzała na Björna i jej wzrok złagodniał. „Ty synu urodziłeś się, by być artystą, nauczycielem, a może i pastorem. Masz łagodny charakter. Nie lubisz wrzasku, chamstwa i posiadasz dar współczucia innym. Martwię się o ciebie bardziej niż o Gunnara. Ale jednakowo będę się za was modlić.”. Wytarła kolejną, natrętą

lżę i dodała: „Każdemu z was daję skarb na drogę: woreczek z rodzinną ziemią, na wszelki zły przypadek...”. I tu już nie powstrzymała łez.

No i ruszyli w drogę. Dość powiedzieć, że wojowali na ziemiach polskich w latach 1655-1660 nie wiedząc, że uczestniczą w „potopie” jaki Szwedzi zgotowali Polsce...

A na wojnie: „tam się biją szabelkami, krew się leje strumieniami” jak głosi ludowa piosenka. Krew się lała obficie po obydwu stronach. Tak jak matka przewidywała, Gunnar zyskał ponurą sławę bezwzględnego żołnierza, co przysporzyło mu łupów i awansów. A Björn potrafił wstawić się za karanymi polskimi chłopami, którzy nie dość gorliwie współpracowali z najeźdźcami.

No i stało się. W jednej z potyczek Björn otrzymał postrzał w pierś. Ciężko rannego ocalili... polscy chłopci, którzy raczej nie patyczkowali się ze złapanymi Szwedami. Nie wiedząc czemu, złożyli rannego na wymoszczonym sianem wóz i wywieźli daleko, na Śląsk niedaleko miasta Wrocław...

Była późna jesień. Rana nie goiła się mimo wysiłków miejscowych, wśród których rej wodziła blondwłosa Matylda. Coś zaiskrzyło między młodymi. Björn powoli, zdawałoby się, że cudem zaczął powoli odzyskiwać siły. Ale los okazał się okrutny...

Pewnego dnia na wioskę napadli maruderzy: Szwedzi, Prusacy i inni. Zaczęli grabić. Podpalili jedną, drugą chałupę... Słyszając wrzawę z jednego z domostw wyszedł poobwijany bandażami Björn i krzyknął: „Stójcie! Jestem Szwedem! Ci dobrzy ludzie uratowali mi życie!”.

Ale daremne jego wołanie! Jego słaby głos zginął w okrzykach bitwy. Wtem, jakiś typ, czerwonawy na gębie, machnął szablą tam, gdzie stała Matylda, podtrzymująca rannego ostatkiem sił. Björn w odruchu serce zastonił dziewczynę własnym ciałem i cios dosięgnął jego piersi. Już nic nie mogło uratować rannego.

Umierał i wtedy zdarzył się cud. Do wioski, w otoczeniu świty, przyjechał Gunnar. Był generałem, a jego oddział oddelegowano, by ścigał dezertersów. Ich to śladem podążając Gunnar trafił do wioski, w której jego brat spędził ostatnie miesiące. Dowiedziawszy się, że w jednej z chałup przebywa ciężko ranny Szwed poszedł go odwiedzić, może wypowiedzieć ostatnie słowo w ojczystym języku. Wszedł do izby. Oczom jego ukazał się prosty tapczan, przy którym łkała Matylda. Gdy usłyszała hasał przy drzwiach odsunęła się i wtedy Gunnar poznał Bjöna.

„Bracie...” wyszeptał. Björn z trudem otworzył oczy. Spojrzenie umierającego ostatni raz nabrało ostrości „Gunnar... Pamiętaj!”, z trudem wypowiedział ostatnie słowo i ... skonał.

Na drugi dzień odbyła się skromna uroczystość. Pochowano Björna w sadzie. Gunnar pamiętał: rozsypał ziemię z woreczka na grobie brata i milcząc, odjechał. Nikt go później nie widział. Tylko ludzie mówili, że w okolicy pojawiła się banda dziwaczego herszta. Tępił bandytów, bronił wieśniaków przed rabusiami, a szczególną opieką otaczał sieroty oraz ofiary najazdu szwedzkiego. Czy to był Gunnar? Może tak, może...

A gdy po zimie, na początku marca spłynęły śniegi, na mogile Björna pojawiły się kwiatki. Były drobne, bladoniebieski, jak łyzy. Szybko się pojawiły i szybko zniknęły - jak kwiaty z północnej Szwecji.

Do lat trzydziestych XX wieku przy parku w Malinie stało jeszcze parę domów pamiętających tamte czasy, a w ogródku jednego z nich gęsto na wiosnę kwitły małe, jasnoniebieskie kwiatki. Ale nie ma już domu, nie ma już kwiatków jak łyzy.